

ZACHWYCENIE

BŁOGOSŁAWIONA

ZACHWYCENIE I BŁOGOSŁAWIONA.

T. LESANTOWICZA

WYDAWCA I DROBNIKARZ WŁ. LESANTOWICZ

POZNAŃ.

W KRAJOWYM KSIĘGARNI I DROBNIKARSTWA WŁ. LESANTOWICZA

1855.

ZACHWYCENIE

I

BŁOGOSŁAWIONA

PRZEZ

T. LENARTOWICZA.

(ODDRUK ZE SZKÓŁKI DLA MŁODZIEŻY.)

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1855.

ZACHWYCENIE

BŁOGOSŁAWIONA

F. JERZYKOWICZA

PODRIEK NA SZKOLE DLA NAJLEPIEJSZYCH

POZNAŃ

Wydawnictwo M. Zocera, Poznań, uczniokami M. Zocera.

1888

ZACHWYCENIE

Zachwycenie.

Mam ciu moja powiedzieć przebie,
Ciebie widziałem na tymym świecie!

O! moje dziecko, byłam ja w zaju,
Gdzie drzewa rosły jak w naszym kraju.

W Lesie naszym z wie zachwyceniem, z dziećmi naszymi
Jeszcze widziałem na tobie uśmiech przytulny, ogłada mnie i pła-
cie, ale ja ciu nie widziałem już na świecie, choć
przed tymczasem niewinnym, jakiegoś czasu dawał. Wtedy ja
dania była, kasy były w tej chwili, we złości swojej
smętna, jak to było me sobie przemyśleć tenże świat, żeby
się do widzenia przywrócić!

Przez M. Zocera

ZACHWYCENIE.*)

I.

Matulu moja powiedzcie przecie,
Coscie widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju.

*) Letarg nazywają u nas zachwyceniem, w ciągu którego dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło, ale jej o tém mówić po ocknięciu się nie wolno, chyba przed istotami niewinnemi, jakimi są małe dzieci. Wedle podania ludu, każdy który był w letargu, wie godzinę swojej śmierci, i na to tylko ma sobie przedłużone swoje życie, ażeby się do wieczności przygotował.

PRZYPISEK AUTORA.

Same jabłonie i wielkie grusze;
 Na nich najczystsze umarłych dusze
 Za dobry żywot, za świętą cnotę
 Poprzemieniane w owoce złote,
 Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
 W ciepłym się słońcu pięknie kołyszą;
 Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
 Bo zaraz lecą w górę do nieba.
 Potém widziałam jasne niebiosy,
 Ową pszenicę z złotemi kłosa,
 Co się pochyla pod boże nóżki,
 Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
 Potém widziałam przeróżne kwiatki.
 Te w bożych łąkach przesłiczne bratki,
 Co się na ziemi bardzo kochali,
 A potém w niebie powyrastali.

— Matenka moja, proszęż ja ciebie,
 Co téż tam robi Pan Jezus w niebie?...
 Co robi w niebie gwiazda zaranna,
 Królowa nasza Najświętsza Panna?...

— O! moje dziecko, o! kochające,
 Jezus owieczki pasie na łące,
 Jak śnieg bieluchne co skubią trawę,
 I nie boją się, takie łaskawe,
 A to są dusze błogosławione,
 Które cierniową zniosły koronę.
 Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy,
 Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
 I jużby wszystkie dzieci sieroty
 Miały koszulki z owój roboty,
 Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
 Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
 Tych srebrnych nitek babiego lata,
 Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja, czyście widzieli,
 Co téż tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
 Bardzo wysoko temi gwiazdami,

A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest téż jak u nas matulu droga
Taka wesolość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselój,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszkiwie leśni
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej....

— Matulu moja powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy plugu?
Widać tam dziewczę co zbiera ziele,
I tego dziada co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórkcu przy bożej męce?

— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

— Powiedzcież teraz matenko droga,
Co tam jest więcéj u Pana Boga?

— Potém widziałam strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzył na świat żalospnym wzrokiem.
Bo w owéj księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tém w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko. —

— Słuchajcie ino matulu droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,

Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —

— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc, o moje dziecko,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych.
I Piotr mu święty, apostoł boży
Złocistym kluczem niebo otworzy.

— Toście wy dużo matko widzieli,
I pewniebyście wrócić tam chcieli;

Więc jak pójdziecie mateńko droga,
To i mnie z sobą weźcie do Boga. —

— O! ty zostaniesz małe pachole,
Bo któżby gąski wypędzał w pole,
Ktoby po lesie zbierał jagody,
Graniastą krówkę pędził do wody?
Ktoby niósł ojcu w pole dwojaki,
Ktoby na ogień przynosił krzaki?
Tak moje dziecko, moje kochane,
Ty się zostaniesz, ja nie zostanę.

— Ej co tam gadać, wy nie umrzecie,
Jest ci już dużo na tamtym świecie.
Powiedzcie lepiej jak téż to było,
Jak się błękitne niebo skończyło?



II.

— Z nieba do czyśca spadziśtą drogą
Schodziłam zwolna niepewną nogą;
Tam koło płota stawa tęsknota,
Każda duszyczka istna sierota;
Oczy przymknięte, usta się zwarły,
Te co już bardzo dawno pomarły,
Czasem na chwilę błysną uśmiechem,
I zaraz jakby uśmiech był grzechem
Ciemnieją lica, chylą się głowy,
I rozchodzą się biedne niemowy.
Do koła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie jak zajrzeć długo, szeroko,
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza.

Po polu wicher przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą biedne duchy.

— To te duszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojej na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słoicie leży?...

— O mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty takie jak nasza,
I takie wody, i takie pola,
Ale im do nich wrócić niewola.

— Cóż one robią, czém się tam bawią?

— Chodzą po grudzie i nogi krwawią,
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurném polu,
Jawi się anioł cichego bólu,

Z koroną Zbawcy całego świata,
Z której kroplami święta krew złata.
A na ten widok okrutnej męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją,
I przed aniołem wylekłe stoją;
A potem jakby wróble spłoszone
Lecą powietrzem w pole zamglone.

— To dla nich nigdy słońce nie świeci?

— Czasem małeńki promyczek zleci;
Gdy ludzie mówią *Zdrowaś Marya*,
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którym gromada duchów się grzeje.

— Teraz co więcej?...

O dziecie lube!
Szłam coraz dalej przeze mgły grube,

Gdzie bardziej drżące i więcej smutne
 Siedzą w swych duchnach dusze pokutne.
 Na jednej skale stromiej, ponuriej,
 Nad którą ciężkie płynęły chmury,
 Siedziały dusze jedna przy drugiej,
 Patrząc na puste żywota smugi;
 Po owych smugach snuły się grzechy,
 W różnych postaciach marne uciechy;
 Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty
 Sprawiał umarłym wstyd wiekuisty.

— A czy to one nie mają dłoni?
 Czemuż z nich żadna ócz nie zasłoni?

— Nie, moje dziecko — ręce duchowe
 Są tak przejrzyste jak kryształowe,
 Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
 Choć się zasłoni, to wszystko widzi. —

Na brzegu czyśca nieszczęsne duchy
 Wydały za mną jęk tęskny, głuchy.

Spojrzałam na nie, stały do koła,
 Schyliwszy na pierś pochmurne czoła;
 Powiedcie, rzekłam, co wam potrzeba?...
 „Miłości ludzi i łaski nieba;
 „Powiedz słoweczko w naszej dolinie,
 „Tam wiesz gdzie woda przeczyście płynie...“
 I nie skończyły. — Smutne wspomnienie,
 Podniosło piersi w jedno westchnienie,
 I napełniło bujnemi łzami,
 Że z wiatru spadły deszczu kroplami. —

— Ach Boże! Boże! — powiedcież dalej,
 Czyście i dzieci w czyścu spotkali?
 Dzieci to prosto do nieba wchodzą,
 Złego nie robią, ludziom nie szkodzą...

— Były i dzieci, przy końcu drogi
 Gdy mi znużone ustały nogi,
 Szłam sobie spocząć na małe wzgórze,
 Aż tu nademną jak błysnie w chmurze, —

A słowo! rzekłam, cóż się to dzieje?
 Włosy się jeżą, serce truchleje,
 Deszcz gwiazd złocistych w oczach mi świeci,
 Myślałam w trwodze że niebo zleci.
 I znowu ciemno — ażci po chwili
 Słyszę, że małe dzieciątko kwili,
 Jedno i drugie i coraz więcej;
 Wzmaga się przy mnie ten płacz dziecięcy.
 Jezu najdroższy! cóż to za głosy
 Rozdzierające płyną w niebiosy?
 Żal mnie ogarnął, w oczach się śmiło...

— Matulu moja i cóż to było?

— Były to dzieci zmarłe przedwcześnie,
 Co się skarżyły bardzo boleśnie,
 Że im świętego chrztu strumień chłodny
 Nie obmył z duszy grzech pierworodny.
 Boso w koszulkach zmęczone całe,
 Leciąły ku mnie kochanki małe,

A ja nad niemi wedle zwyczaju,
 Żeby już sobie poszły do raju,
 Zrobiłam krzyżyk ręką życzliwą:
 „Idźcie dziecieczki w drogę szczęśliwą;
 „Ja was chrzczę w imię Ojca i Syna.“
 Ledwie skończyła, każda dziecina
 Wznosi się zwolna w ciche powietrze, —
 Prześliczne duszki od puchu lepsze,
 Wzlatują w górę i nad mą głową
 Wiszą plecianką złotą, różową.
 Im wyżej lecą tém nieznacniejsze,
 Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze;
 Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków,
 I lekką odzież barwy fijołków,
 Wreszcie znikają jak krople rosy,
 I nic już nie ma... tylko *niebiosy!*

Tak przez tych dzieci kryształne ciała
 W czyścju raz jeschcem niebo widziała,
 Jak przez zasłone wysoko w górze,
 Wyraźnie Jezus jaśniał w lazurze.

A z dłoni jego padał blask błogi
Na cienie co mu biegły pod nogi. —

Potém szłam dalej mówiąc koronki,
Przez jakieś zgniłe, cuchnące łąki,
Po białych liljach co ślicznie rosły,
Smukłe łodygi ku niebu niosły,
I jużby pewnie jak chmurki srebrne
Splatały świetne wieńce podniebne,
Gdyby im szatan w śnieżne kielichy
Nie wsączył jadu złości i pychy. —

Przedemną w dali niebo ciemniało,
Tam nieustannie błyskało, grzmiało;
W powietrzu dziwne słyszałam kłótnie,
A co mi dawniej bywało smutnie,
Teraz się bałam iść w ową stronę,
Pod te obłoki, pod zapalone.



I niby ręce wznosił w pokorze
Lecz z tak jak ogień świeca się rozżalała
Obłędem się schylił po kwiatki błogie
Co rosił na samym wzniesieniu błogim
Wysagami rękę chwycił chłobny
A kwiatek też w górze wznosił się
Wszystko zniszczone, wszystko się waliło
Trzęsący, zapadła, gnijła i paliła

III.

— Żebyście też to powiedzieć chcieli,
Coście najpierw w piekle widzieli?

— Widziałam najpierw jedną rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę:
Płakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serca kłuli. —
Ach jakie zbrodnie, skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Ojciec na syna, a syn na ojca,
Jeży się, slini, rzuca jak zbójca.
Na boku wielka duchów gromada
Schylona niby pod krzyżem pada,

I niby ręce wznosi w pokorze,
 Lecz z rąk jak ognie świecą się noże.
 Chciałam się schylić po kwiatek złoty,
 Co rósł na smugu wdzięcznemi sploty,
 Wyciągam rękę chciwą zdobyczy,
 A kwiat łeb w górę wznosi i syczy.
 Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
 Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
 A pod gniewliwych niebios zasłoną,
 Świeci zła gwiazda miotłą czerwoną.

— Jak też wygląda szatan przeklęty?

— Czasem jak szatan, czasem jak święty:
 Raz obrzydliwy lot nietoperza,
 Jak sieć pajęczą na świat rozszerza;
 To znowu jakby okryty zorzą,
 Udaje mądrość i piękność bożą.

— To w piekle żadnej nie ma radości,
 Ani spoczynku, ani jasności?

— Widziałam jasność, tak się świeciło,
 Jakby się w nocy miasto paliło.
 I radość także słyszałam wściekłą:
 Jednego razu śmiało się piekło,
 Gdy pani panu truciznę wlała,
 W pięknym ogródku go pochowała,
 Nasiała lilii, rutki i maku,
 Żeby nie było na grobie znaku.
 Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,
 Kiedy śpiewanie w kościółku zgłuchło.
 Trzeci raz otchłań śmiechem zawrzała,
 Gdy miłość ziemi w sercach zagasła.
 Tam w jednej stronie jest i spoczynek
 Na łące zgniłych niezapominek.
 Pod czarném niebem, Bożeż mój, Boże!
 Widziałam owe Madeja łoże;
 Na niem spi zdrajca z czerwoną brodą,
 Cały oblany śmiertelną wodą.
 Wąż opasuje spodłone czoło,
 Zwinąwszy ogon w złociste koło,
 Niekczemną duszę kłębami ścisną;

Z oczu lzy kapią jak ze źródlika,
 Lecz nadaremnie — wszystkie boleści
 Ile ich otchłań piekielna mieści,
 Żadne łez krwawych morze nie spłaci
 Godziny męczarni skrzywdzonych braci.

Z pod łoża jakby drzewa wyrosły,
 Płomienie złote języki wzniosły,
 Targane wichrów szalonych fala,
 Jak liście iskry sypią i palą.
 Pod temi drzewy pod płomiennemi
 Przy łożu zbójcy siedzą na ziemi,
 I dużo istot co niegdyś skrycie
 Zatrwały młode, niewinne życie.
 Tam ja widziałam twarze fałszywe,
 Oczy śmiejące, uśmiechy krzywe,
 Spiekłe języki po pas wiszące,
 Wężowóm, czarném żądłem drgające,
 Zdradziekich palców węzeł skurczony
 Błyszczał się zdala krwawemi szpony.

— To pewnie Judasz mateńko droga,
 Leżał na łożu co wydał Boga?

— Nie moje dziecko — Jezus kochany
 Zszedłszy do piekła targać kajdany,
 Ujrzał Judasza jak stał na boku,
 Z słońcą na brodzie, z zdradą na oku;
 Najwyższa miłość litością zdjęta,
 Najpierw z wroga zerwała pęta;
 Ten co zwyciężył piekło cierpieniem,
 Powlekł po zdrajcy smutném spojrzeniem,
 I żadnej męki, żadnej katuszy
 Nie raczył zadać téj marnój duszy;
 Zostawił tylko pamięć żywota,
 I zrosły z ręką sak pełny złota.

Któż wszystkie nędze piekła wypowie,
 Owe lzy sierot, przekleństwa wdowie,
 I kłatwy matek — o niech Bóg broni!
 Widziałam w jednej strasznej ustroni,

Jak pokurczone zbrodniarzy ciała
 Jedna sieroca łza pobijała;
 A klątwy matek jak trąby brzmienie,
 Wstrząsały całe piekielne przestrzenie.
 Na brzegu piekła jeszcze widziała
 Przy ciemnych grobach leżące ciała,
 Które z wnętrzości ziemia wyrzuca.
 Ten widok srodze serce zasmuca,
 Na myśl jak człowiek siebie zohydzi,
 Że aż nim martwa ziemia się brzydzi.

— Matulu moja, czy owe duchy
 Nie mają żadnej w świecie otuchy?

— O mają one jedną nadzieję,
 Że się rąk ludzkich praca rozwieje,
 I że na ziemi jak próżna mara,
 Zniknie nadzieja, miłość i wiara.
 Przekłete piekło na wszystko w świecie
 Wścikły jad rzuca, obelgi miecie;

Brzydząc się cichą pracą człowieka,
 Tłuszcza piekielnia wciąż jeno szczeka.
 A ci co w piekle latają w górze,
 Sieją wichrami, by zbierać burze,
 Wszystko inaczej, wszystko przewrotne,
 Przez te otchłanie trza iść samotnie,
 Bo każde podle, zdradliwe ramie,
 Bo każdy uśmiech serce ci złamie.
 Póki mi życia, póki tehu starczy,
 Wark, którym piekło bezdenne warczy
 Będę słyszała, słowa bezczelne,
 I te postacie złe nieśmiertelne,
 Co leżą nago na ziemi tłumnie,
 W pamięci będą krzywić się ku mnie!

.
 Tak przeszłam drogę smutno, boleśnie,
 Na raz przeglądałam — czy jeszcze nie śnie?
 W koło mnie ludzie: ci trumnę niosą,
 Inni oblani rzewną łez rosą;
 Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
 A ty kochanku modlisz się szczerze,
 I patrzysz we mnie z taką miłością,
 Że zapukało serce radością,
 I jakieś ciepło słodkie, wiosenne,
 I jakieś światło ciche, promienne,
 Wstąpiło we mnie, jak biała zorza,
 Jak czysta miłość, jak łaska boża.
 Spojrzałam w okno: to samo siokoło,
 Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
 Woda się świeci jak srebrna łuska,
 Kilkoro dzieci w stawie się pluska.

I znowu jestem na swojej ziemi,
 W wiosce pomiędzy ludźmi dobrymi.
 Wiem ja, dziecino, moją godzinę,
 I wiem, że z łaski bożej nie zginę.
 Więc mnie nie płaczcie w skonania chwili,
 Ani żałujcie, o moi mili:
 Jeno mnie płachtą okryjcie białą,
 Potém do trumny połóżcie ciało,
 A potém bracia, krewni, rodzina,
 Niech zaśpiewają *Salve regina*.

I krowi jestem na świętej ziemi,
 W wiosce potężny ludźmi dobrymi,
 Wierę ja, daciecino, moją godnie,
 I wiem, że z łaski bożej nie zgine.
 Wierze mnie nie płacisz w skromnym chwile,
 Ani żałujesz, co moim milinim większym chwile,
 Tęno mnie płacisz okryjcie się białym zar. na
 Potem do trumny połóżcie ciało z łok.
 A potem bracie, okryjcie truchalcą do
 Niech kaspiewa się wzywaniem przy dach
 A ty kochanku modlił się szczerze,
 I patrzysz we mnie z taką miłością,
 Że zapukało serce moje do ciebie,
 I jakieś ciepło słodkie, wiosemne,
 I jakieś światło ciche, promienne,
 Wstąpiło we mnie, jak białe słońce,
 Jak czysta miłość, jak łaska, boża.
 Spojrzałam w okno: to samo słońce,
 Słowy dają schyłku stulecia czułość,
 Wola się świecić jak srebrnym łaską,
 Kilkoro dzieci w stawie się pływają.

WIERZ

JOZEFOWI ZALECKIEMU

Błogosławiona.

Wyrzucił to jest u nas znane w opowiadaniach, jak u p.
 Zmieszany zwrócił i zwrócił, żeby już nie nie wchodziło? — I dru-
 gie: "Cóż była na świecie, jak gdyby walcem czasu? — Kto
 niekiedy, ten jakby słońce tole postawia. Kto kochać wazył.
 Ten nie niekiedy, ten ma pokój w duszy... a w sercu jego taka ci-
 eń, jak gdyby miłością czasu, i z słów jego znaczących w nie-
 winne serce tożnie tak fajny, spokojny płon. Jak z niawczek
 postanego w pełnym zmięgnięciu.

TRZYBIER REDAKCYI SZKOLNEJ

Niech imi sieją słońca, ja posieję makiem. *)

*) Wyrażenie to jest u nas znane w opowiadaniach, jak n. p. „Zniszczył, zaorał i zasiał, żeby już nic nie wschodźło“ — i drugie: „Cisza była na świecie, jak gdyby makiem zasiał.“ — Kto niszczy, ten jakby słońca rolę posiewał. Kto kocha wszystkich, ten nie niszczy, ten ma pokój w duszy, a w sercu jego taka cisza, jak gdyby makiem zasiał, i z słów jego rzuconych w niewinne serca rośnie tak bujny, stokratny plon, jak z ziareczek posianego w pulchną ziemię maku.

PRZYPISEK REDAKCYI SZKÓŁKI.

WIERSZ

przypisany sercem ukochanemu

JÓZEFOWI ZALESKIEMU,

oraz

Maryankowi, Józi, Dziwowi i Karolkowi Zaleskim.



WIERZĄ

przebiegany sercem ukochanym

JÓZEFOWI ZALESKIEMU

Między innymi, Józef, (Józefowi) Zaleskiemu

Wiersz, który napisał w roku 1842, w czasie swej podróży do Włoch, w czasie której przebywał w Rzymie, w dniu 15 września 1842 r. Wiersz ten napisał w czasie swej podróży do Włoch, w czasie której przebywał w Rzymie, w dniu 15 września 1842 r.

Tam się spotykać z sobą
Co się przez życie mogłoby
Żeby uczucie kochać
Świętej Barbary i Margaryty
A owe święte dają
Pod obieranie jak panna młoda
Alas! co czuwać i czekać
Kiedy się w toż zwróci

BŁOGOSŁAWIANA.

Jak święci panacy stają w obłokach

Na sądy boże dusze się spieszą,
Jedne się smuca, drugie się cieszą,
Bo na przedniebii stoi na straży
Anioł co ludzkie uczynki waży
Kiedy dobrego przeważa ważka,
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,
Nad czoło mały świecący krążek,
Przepasę z jasno-niebieskich wstążek,
Ostatnią leżkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera.

Tam się patronce swojej pokłoni,
 Co się przez życie modliła do niej,
 I ucałuje koniuszek szaty
 Świętej Barbary i Małgorzaty,
 A owe święte dalej ją wiodą
 Pod obie ręce jak pannę młodą.

Szczęśliwa dusza patrzy po bokach,
 Jak święci pańscy stoją w obłokach,
 Ciż sami święci i drugich wiele,
 Których widziała w wiejskim kościele:
 Święta księżniczka pełna pokory,
 Co wystawiła cztery klasztory,
 I sama w jednym czas bardzo długi,
 Robiła biednym proste posługi,
 Nosiła wodę, zmywała statki,
 Choć miała w domu wszelkie dostatki,
 I gdyby tylko sama zechciała,
 Zarazby króla za męża miała;
 Bo przytém była piękna, rozumna,

Ale nie taka jak drugie dumna,
 Więc uprosiła u ojca księcia:
 Żeby już sobie nie szukał zięcia,
 Że po wiek wieków ona dla siebie
 Już upatrzyła pana na niebie; —
 A jak wyrzekła tak dotrzymała,
 Za co światłości wiecznej dostała,
 I teraz stoi w słupie obłoku,
 Święty klasztorzek dzierząc przy boku.

Za nią oparty o pszenny snopek
 Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
 Żywił on biednych przez głodne lato,
 Więc mu też Pan Bóg nagrodził za to.
 Owa uboga wieśniacza świta
 Teraz się świeci jak srebrem szyta;
 Ona pszenica kłosisista biała,
 Jakoś dziwnego blasku dostała.

Przy nim pomarli synkowie mali
 Trzymają w rączkach snopki konwalii,

I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącej.

Gdzie się obróci, święty się ślania,
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętej Agacie i Petronelli,
Co się po niebie przechodzą w bieli,
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem,
I przed Maciejem, i przed Florjanem.

Tam siedzą święte biskupy siwe,
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im troska lic nie zaciemia,
Bo też to niebo, nie nasza ziemia.....

Święte patronki dalej ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie, jak im dziękować,
Radaby święte nóżki całować,

Że się ubogiej żadna nie wstydzi,
I że tak piękne niebiosą widzi.

— Panielki jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć matuchną bożę,
Aby z daleka, choć aby ździebko;
Widziałam ci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskim jest za pastuszka,
Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę bożą grywa w multanki. —

A cóż ty żadasz? — Prosiłbym chciała:
Żeby też oczko na niego miała.

Więc święte pańskie dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkiemi
Przeogląda jasna królowa ziemi,
A dwa aniolki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce!

Na jój rozkazy anieli służą,
Tacy precudni i tak ich dużo.

— Święta Barbaro! a gdzieś ów leci?

— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,
Niesie przed sobą rajskie jabłuszka. —

— Chwała ci Boże! — a owo panie
Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie?

— Niesie kapeczkę z krynicy świeżej,
Co przy stolicy przedwiecznej bieży,
Żeby w czysćcowej strasznej posuszy
Odwilżyć usta cierpiącej duszy,
Która się łaski bożej doprasza,
A ta duszyczka to matka wasza.... —

— Chwała ci Boże! — A ówże trzeci,
Co jakby gwiazdka wieczorna leci?

Ten do waszego pospiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki;
A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali,
Ubodzy ludzie choćby z najdalej,
A on każdemu będzie przykładal,
A anioł pański mu podpowiadał. —

— Chwała ci Boże! — A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?
O święte panny, jakże mu spieszno
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...

— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata,
I o tój porze po biodra nagi,
Znosi cierpliwie okrutne plagi,

Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem.

— Chwała ci Boże! — A ówże białe
Co mu się skrzydła porozstrzępiały?

— Ten niesie liścik od Matki bożej,
Który na wiejskim ołtarzu złoży,
Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszło wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całej
Nowe sukienki na siebie wdziały,
I kwiecica żeby przyniosły pęki,
I zaśpiewały na Bogu dzięki,
Bo już w tym kraju przez litość Boga,
Nie będzie moru, głodu ni wroga. —

— Chwała ci Boże! za wszystko chwała,
Com tu na własne oczy widziała.
Gdybyż to ludziom powiedzieć o tém,
Co umierają z głodu pod płotem,

Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarżą na rękę Bożą,
A tu tak wiele różnej pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy. —

— Nie bój się siostrzo, ich tam nauczą
Te dziady co się o kiju włóczą
Z ewangelijką jak apostoły,*)
Albo stawają po przed kościoły,
Gdzie się uśmiecha z wilgniej świątnicy
Mały aniołek z nad kropielnicy,
Tak wyrobiony w ciemnych cegielkach,
Jak gdyby żywy na dwóch skrzydełkach;
A na wpół nagie wieśne pastuszki,
Dają mu leśne jabłka i gruszki.

*) Pamiętam z dzieciennych lat, jak co niedziela przycho-
dził do naszego domu taki dziadek z ewangelijką pod pachą,
a stanąwszy przy drzwiach, po błogosławieństwie całemu do-
mowi, odczytywał ewangeliją na tę niedzielę przypadającą
z wielkiem zbudowaniem słuchaczy.

I święte pańskie dalej ją wiodą
 Pod obie ręce jak pannę młodą,
 Po drodze nieraz wznosząc paluszek
 To na obłoczki z dziecięcych duszek,
 To na aniołów twarze pogodne,
 Spieszących lilje okrywać wodne
 Taką tkaneczką w niebiosach tkaną,
 Jak najpiękniejszą zorzą rumianą;
 I drugie, które z srebrnych przetaków
 Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków.
 Jeden się żywém światłem przesłonił,
 Gdy na odwieczny dziadek zadzwonił;
 Inny z kotewką wiszącą, krzywą,
 Leciał na wielką wodę burzliwą;
 A jeden robił z srebrnych włókienek
 Płótno na suknie świętych panienek,
 A jeden związał na tęcze paski,
 A jeden zbierał na kółka blaski. —

Szczęśliwa dusza idąc pod ręce
 Ku przynajświętszej matce panience,

Myślała sobie, czyby nie trzeba
 Prosić o więcej królowej nieba;
 Za moim chłopcem toć to za mało,
 Za panią naszą téżby się zdało,
 Za panem naszym co go zawiąło. —
 Aż tu jak gdyby z pod ziemi, z niska,
 Jak para głos się wdzięczny przeciska...
 Szczęśliwa pilnie ucho przykłada,
 A to pan z panią podzięki składa;
 Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
 A ta z twarzą tak uśmiechnętą,
 Jak się to zdarza, gdy chcemy komu
 Oznajmić wielkie wesele w domu,
 Patrzy się na nią i słówka cyka:
 — Pokora twoja niebo przenika,
 Jakes prosiła, tak się i stało,
 Wszystko tu jedno, dużo czy mało. —

I święte panny dalej ją wiodą,
 Pod obie ręce jak pannę młodą,
 A ta już nie wie jak im dziękować,

Czyby nóżeczki święte całować,
Czy koniec długiej liljowej szaty
Świętej Barbary i Małgorzaty.

A święte mówią: jeszcze to nie to,
Co ujrzysz dalej dobra kobieto;
Widzisz tę jasną, grającą zorzę,
Tam ci pokażem skarbnice boże.

Idzie i klucznik — prośże klucznika,
To poprowadzi i poodmyka. —
— O z miłą chęcią święty odrzeka:
Niechże tu siostra chwilę poczeka.
I zaszedł w zorzę jak boże słońce,
Kiedy na ziemię schodzi świecące.

Aż ci po chwili, o łasko boża.
Pocznie grać cudnie rumiana zorza,
Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy z daleka jadą wesela,

I ledwie słyhać skrzypeczne brzęki,
Jakieś ci głosy, jakieś piosenki,
Niby słyszane i niesłyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane,
Coś jakby pszczoły lecące z miodem,
Coś jakby strumień, co szemrze spodem,
Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha,
Coś jakby słodkie słówko do ucha,
Coś jakby dźwięczny z kaplicy dzwonek,
Kiedy się ledwie rozbrzyzga dzionek,
I pociemniałe oświeca krzaki,
Gdzie zmokłe rosą budzą się ptaki.
Szczęśliwa słucha i zadumana,
Pochyla czoło, zgina kolana,
I jak porzeczna, cicha lilija
Woń niebios wieje *Zdrowaś Maryja,*
Zdrowaś Maryja, Panno Pan z tobą,
.....
.....
Spójrzy i widzi cuda przed sobą.

Na wyrabianej srebrzystej tacy
 Leży kłos złoty rolnika pracy;
 Jak brylantowa gwiazda niebieska,
 Nawróconego grzesznika łezka. —
 Na boku puklerz jak miesiąc leży,
 Który zasłaniał biednych pasterzy,
 I dla miłości żywego Boga
 Bronił samego wroga od wroga; —
 Dalej jak młyński kamień ze złota
 Grosz, który dała biedna sierota;
 A nad tém wszystkiém i któż wypowie,
 Co podnaszają dwaj aniołowie:
 Jak oni święci stoją schyleni
 Nad tą koroną z strasznych promieni,
 Przenikających bardziej niż słońce
 Najdalsze świata bożego końce,
 Tak że nie można patrzeć się blisko
 Na to miłości bożej ognisko,
 A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni
 Korona boża z okrutnych ciemi;
 A nad nią wyżej w powietrza fali,

Krzyż pański niosą przeczysci biali,
 Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
 Taki ogromny, a taki lekki,
 Że i najmniejsze dziecko w pokorze
 Na swoich barkach unieść go może.

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała,
 — A cóż ja Panie dla ciebie dała?...
 A święty klucznik wskazał jej zdala
 Małeńkie serce jakby z koralu;
 A z tego serca szły trzy promienie:
 Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
 I ta, co ziemskie życie ozłaca,
 Nieustająca, spokojna praca. —

I dalej wiodły ją święte boże,
 Nad przezroczyste niebieskie morze,
 A nad tém morzem w górze jaśniała
 Królowa nieba, ta gwiazda biała.
 Więc się do świętej zwróci Barbary:

— Cóż to za morze bez końca, miary?
A jakie czyste, jak się odbija
Na jego wodzie śnieżna lilija,
I niebiesciuchna, przejrzysta szata,
I wszystkie gwiazdy królowej świata? —

— One nie mogą, siostró, być inne,
Bo to są sierot łezki niewinne,
A spojrzij na dno, widzisz z pod spody,
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiej stoi sukience,
Jak na tém morzu i na panience. —

— Oj prawda, prawda — toć nasza wioska,
Zlituj się nad nią o Matko Boska! —

A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli? —

Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy,
Wszystko to wierni lub męczennicy.

I święte panny dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa widząc jak z jego kija
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzeczce k' świętej
Jak człowiek żywą radością tknięty:

— A toć to Józef! — A Józef prawi.
— Niechże mi on też pobłogosławi. —

A święty Józef zwraca się żwawo,
I rączkę nad nią wznosi łaskawą. —
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan z Chrystusa uczni najśłodszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku

Witał ich nowy święty w obłoku,
 Święty Mateusz i drugih wiele,
 Których widziała w wiejskim kościele,
 Każdy się świeci i każdy rusza,
 Że aż patrząca cieszy się dusza,
 I wciąż radośnie szepce do siebie:
 — Mój Boże drogi, toć to ja w niebie! —

W świętej gromadce to i iść sporzój,
 Jedna im droga do Matki Bożej,
 Gwarząc ze sobą to to, to owo;
 Każdego takie serdeczne słowo,
 Że się wydaje, że dziecko głuży,
 Więc się im owa droga nie dłuży. —

Na ziemi było już po zachodzie,
 Bo ryk słyszała bydła przy wodzie,
 I wiejskich owiec wesołe beki,
 Które owczarek poił u rzeki,

I śpiew słowika, co w letnie noce
 Na chwałę bożą wdzięcznie szczebioce,
 Ciche westchnienia na progach chatek
 I pacierz małych kłęzących dziątek,
 Kiedy do rajskiej weszły gospody,
 Szczęśliwe dusze na wieczne gody. —

Wszyscy pokornie schylili głowy,
 Ujrawszy długi stół cyprysowy,
 Na którym była królowa nasza
 Robiona złotą rączką Łukasza;
 A na tym stole cudnej roboty,
 Płatkiem przykryty stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
 W niebie się wdzięczne rozległo granie,
 Długo słuchając słodkiego dźwięku,
 Wybrani pańscy na cichym kłęku,
 Ujrzeni światłość jak przybywała,

Jak wszystko w okół poprzenikała,
 A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli,
 Która gdy cicho stanęła w progu,
 Umarli świata powstali w Bogu.

Fontaineblau, w dzień Św. Jana Chrzciciela 1854.

Lirenko moja, mała lirenko,
 Coś mi tak nagle zgłuchła pod ręką,
 Czyś się jasności niebios wylękała?
 Czy jaka struna na tobie pękła?
 Anim się jasnych niebios wylękała,
 Ni żadna struna na mnie nie pękła,
 Tylko z powietrza dłoń na mnie spadła,
 Na wszystkie struny palce pokładła,
 Jak gdy szczęśliwe pachole nasze
 Na gniazdku śpiewne przykryje ptasze.

